

DR KAZIMIERZ KAPITAŃCZYK

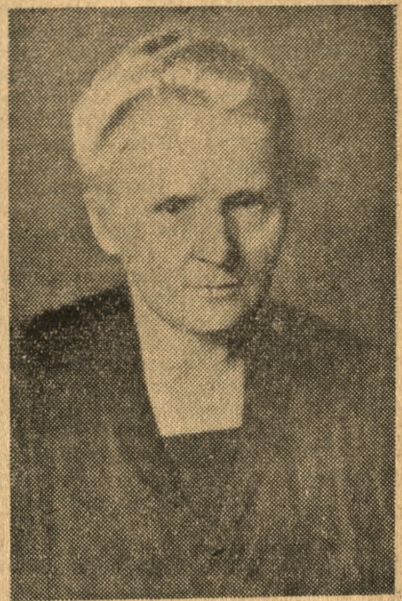
prof. S. I. i doc. U. P.

(IV)

50 lat promieniotwórczości*)

Jest rzeczą uznaną, by czcili wielkie rocznice, by oddawać hołd wielkim synom narodu i ludzkości. Wiele przy takich okazjach wypowiada się wzniosłych zdań, sporo rozsuwa się mdych kadzidel oraz bardzo dużo rzuca frazesów. — Ludzie lubią celebrować uroczystości, rzesze zawodowych celebrentów prześcigają się w konkursie krasomówstwa. Z drugiej strony wylażą z kątów smętne sylwetki malkontentów i złośliwych odburzowywaczy, którzy za wszelką cenę pragną zderzyć sławę z ramion wielkości i to w tej smutnej nadziei, że potrafią ośmieszyć prawdę. Szarpanina jest tym gorliwsza im fabrykanci tandetnych koturnów wyżej jej wznoszą a złośliwcy im bardziej są zarozumiali. Na szczęście w rzetelnej pracy i realnej wielkości, znajdują się tylko prostota i mądrość, pokora i spokój. Atrybuty te, obnażone blizszą tym wspaniale.

„Dwie rudy uranu: smółka (tlenek uranu) i chalkolit (fosforan miedzi i uranu) wykazują znacznie silniejszą aktywność, niż



Maria Curie w r. 1929.

samego uranu. To zjawisko jest bardzo znamienne i zdaje się wskazywać, że rudy te mogą zawierać pierwiastek znacznie aktywniejszy od uranu...“

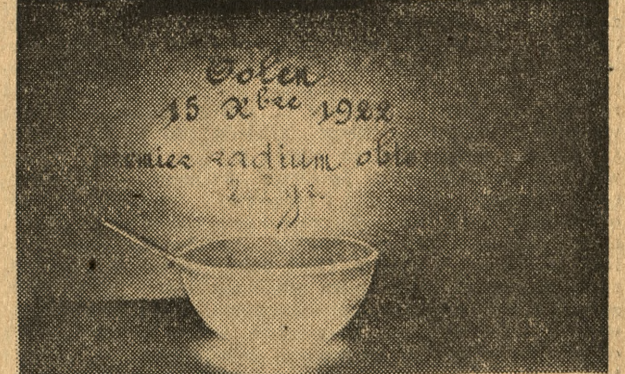
Ze sprawozdania z lipca 1898 dowiadujemy się:

„...Przypuszczamy, że ciało, które wyodrębniliśmy ze smółki uranowej, zawiera nieznaną nam pierwiastek, który proponujemy nazwać radem. Nowy ten związek zawiera na pewno bardzo znaczną ilość baru, mimo to jednak jest silnie promieniotwórczy. Promieniotwórczość radu musi być zatem ogromna“.

Wreszcie 26 grudnia 1898 Akademia Nauk otrzymała następujący komunikat:

„... Wyżej wyszczególnione fakty każą nam przypuszczać, że w tym nowym związku promieniotwórczym znajduje się nowy pierwiastek, który proponujemy nazwać radem. Nowy ten związek zawiera na pewno bardzo znaczną ilość baru, mimo to jednak jest silnie promieniotwórczy. Promieniotwórczość radu musi być zatem ogromna“.

Tak to 50 lat temu odkryto ten pierwiastek i nazwano go radem — promienistym. Wtedy też rozpoczęła się wspaniała legenda o promienistych pierwiastkach, zapoczątkowana wiedzą o promieniotwórczości. Należało by le-



Rad sfotografowany w ciemności, przy własnym, swoim świetle.

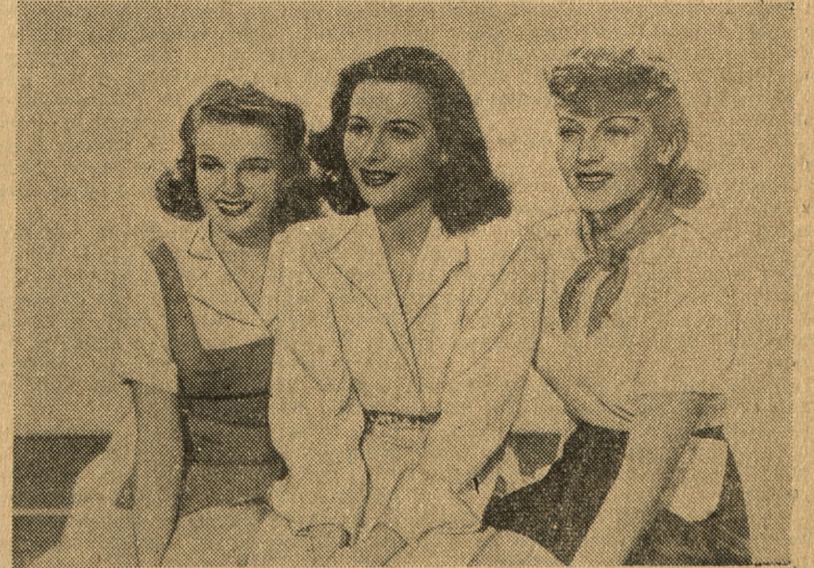
Fot. (3) Ag. II. APD

dzono bowiem, że natężenie promieniotwórczości jest proporcjonalne, do zawartości uranu w związkach oraz promieniotwórczość jest niezależna od składu chemicznego i czynników ubocznych. Były to rewelacje w dziedzinie nauki. Tymczasem pewne próbki minerałów uranowych, jak już wspomniano, wykazywały nieoczekiwanie większą promieniotwórczość. Wtedy to Maria stawiała śmiałą hipotezę, że chodzi o nieznaną jeszcze pierwiastek. Pod datą 12 kwietnia 1998 czytamy w ich komunikacie dla Akademii Francuskiej:

gędę tę opowiedzieć, jest barwna i emocjonująca — nie wiem tylko czy uda się opowieść zrealizować! Są tacy, którzy gniewają się z tego powodu. Pocięszającym jest jednak że przed pół wiekiem byli także podobnie małoduszni i — mimo to rad został odkryty.

*) W bieżącym tygodniu odbędzie się w Poznaniu, zorganizowane przez P.T.P.N. wielkie uroczystości dla uczczenia 50-lecia odkrycia polonu i radu — związane w dniu 19 czerwca br. z przemianowaniem Placu Bergera na Plac Marii Curie-Skłodowskiej, oraz z publicznym posiedzeniem naukowym w Auli U. P.

Uśmiech młodości...



Trzy gracje filmowe z obrazu pt. „Kulisy Wielkiej Rewii“

Świat

Ilustrowany dodatek tygodniowy
Nr 24 Głosu Wielkopolskiego

Popisy Zespołu Pieśni i Tańca Rosyjskiego im. Piatnickiego

(Na marginesie wizyty najlepszego zespołu ludowego ZSRR w Poznaniu)

Muzyka i taniec znajduje w Rosji tradycyjnie od wieków najlepszy grunt do rozwoju. Sprzyja temu wrodzony talent oraz wycucie słuchu i rytmu wśród rosyjskiego ludu. W Poznaniu po wojnie wizyta artystów radzieckich była pierwszą. Gościł już dwukrotnie słynny balet Moisiejewa, zespoły wojskowe, z zespołem gen. Aleksandrowa (zmarłego niedawno) na czele oraz wspaniały chór pod dyr. Swiesznikowa witaną owacyjnie w auli U.P.

Dwukrotny występ ludowego zespołu radzieckiego im. Piatnickiego w stołowiec Zakładów H. Cegielskiego po raz pierwszy w Poznaniu miał odrębny charakter, przynosząc niejako syntezę charakterystyczne pieśni i odtańczone tańce wsi rosyjskiej, prezentując niespotykana wprost dyscyplinę techniczną. Świetny zespół muzyczny z oryginalnymi instrumentami muzycznymi (egzotyczne bałajki) pod batutą ludowego artysty ZSRR — Chwatowa był doskonałym akompaniamentem (zwłaszcza bandonion) dla chóru, który wyszkolił laureat premi stałnowskiej — Zacharow, jak i stał się pobudzającym akompaniamentem dla zespołu tanecznego pod kierownictwem — p. Ustinowej.

Większość 164-osobowego zespołu im. Piatnickiego należała do chóru, którego każdy członek odznaczał się dużą kulturą śpiewaczą. Technika wykonania pieśni polegała na częstych wkładkach solowych, duetowych lub sekstetowych przy ujednostajnionym rytmicznym akompaniamentem chóru, wyrażała się ona również w monumentalnym, masywnym w brzmieniu (czasem zbyt ostrym jak na fasze ucho) zbiorowym śpiewie unisono (zwłaszcza refrenów i przyspiewek). Zespół taneczny z wyraźną przewagą barwnie ubranych i urodziwych, młodych kobiet wykazał jeszcze raz wszystkie walory solowego i zbiorowego tańca rosyjskiego na najwyższym poziomie wykonaw-

dziecka to nie tylko dwie różne koncepcje tańca, ale dwie różne koncepcje życia. Balet Moisiejewa — jakkolwiek nawiązywał do tańców ludowych, nie ograniczał się jednak do powtarzania ich form i rytmów, zespół taneczny im. Piatnickiego pod kierownictwem Ustinowej oddawał raczej wiernie koloryt ludowy, zwłaszcza w pierwszej części programu. Taniec ten nie ulegał przewrotnym koncepcjom choreograficznym baletmistrza, który nieraz w tańcu ściśle artystycznym pragnie intensywniej wyrazić charakter swego ludu, aniżeli czyni to taniec autentyczny. Posługiwanie się dla lepszych efektów jednym ruchem zwielokrotnionym jest na ogół właściwe rosyjskim tańcom obrzędowym.

Słusznie wielu naszych teoretyków tańca z Peiperem na czele stwierdziło już, że w repertuarze tańców rosyjskich, które dotąd przesunęły się przed naszymi oczami (w przeciwieństwie do angielskich) — wyrazu cierpienia nie było a wszelkie „smutki, osamotnienia, nieodłączne od kobiecych tańców solowych miały w sobie wstrzemięźliwość



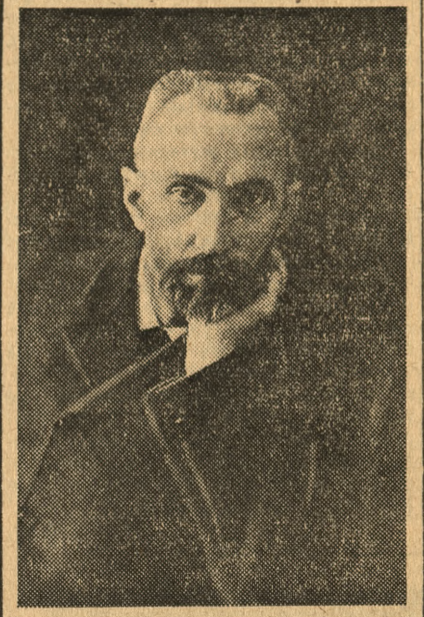
T. Ustinowa — kierownik grupy tanecznej

wyrazu, którą również obserwujemy w rosyjskiej literaturze“. Akcenty radości miały zaś charakter wprost żywiołowy i dynamiczny. Brak tu tych czynników sataniczno-demonologicznych, jakie widzieliśmy „W dziejach marnotrawnych“ lub w „Cudzie w Gorbals“ w wykonaniu baletu angielskiego. Siła i zręczność zapewnia mężczyźnie absolutną wyższość nad wybraną kobietą, jaśniejącą swymi urokami. W walce zwycięża zawsze mężczyzna, podczas gdy kobieta podporządkowana mężczyźnie jest raczej symbolem nagrody: wypoczynku po walce.

Ileż w tych powólczystych szatach tancerki i majestatycznym, powolnym chodzie z głową nieco pochyloną, w płynnej wymowie rąk w hieratycznych pokłonach, kryje się dystynkcji, jakiego ognia nabierają wzrastające w tempie przyspiewki samych tancerki, krzeszących drobione hołubce? (np. taniec z wstążeczkami i chustkami, lub zilustrowana tańcem pieśń „U naszej Kati“). Bisowany „Karuzel“ porwał zawrotnym wirem i ekspresją to samo taniec w czepkach a przede wszystkim narodowa ruska pieśń, Ustinowej na zakończenie programu z kapitalnymi solowymi popisami mężczyzn. Zespół pokazał również akrobatyczną groteskę ludową, np. w tańcu z... świętą tancią, swatającą swe córki (doskonały solista w różowej bluzie).

W sumie spektakl przyniósł pełnię artystycznych wzruszeń.

Ewa Curie pisała dzieje żywota swej matki sercem i talentem. Nie są to słowa stronnicze, dyktowane przez kochające serce dziecka. Są to słowa gorące ale i prawdziwe. Wielka Uczona była bowiem dobrą matką i wychowała dobre dzieci, które mówią prawdę i walczą o prawdę. Od Ewy Curie zapożyczymy wiele



Piotr Curie (r. 1903).

Maria Skłodowska pochodziła z narodu uciśnionego i była uboga. Ubóstwo nie przeszkadzało jej w dążeniu do wiedzy, gdy była sławną. Razem z Piotrem Curie rozpoczęli uciążliwą wędrówkę po ciemnej drodze sławy. Po 29 miesiącach ciężkiej pracy — w najdostojniejszym tego słowa znaczeniu — odkrywają oni cudowny pierwiastek — rad. Razem z radem rodzi się nie tylko nowa nauka, ale i nowa filozofia. Ludzkość zyskuje poza tym potężną broń przeciw nowotworom złośliwym — zyskuje też niestety i broń przeciw sobie. Nie było to zasługą ani nawet intencją tych dwoje Bomba atomowa wywodzi się z prostej linii od promieniotwórczego uranu i radu jest owocem wysiłków pretorianów. Dzieło Marii i Piotra Curie było dostępne dla wszystkich — nawet dla gieldziarzy. Kiedy amerykańscy właściciele złóż radowych zwrócili się do małżeństwa Curie o wskazówki techniczne, otrzymali je bezinteresownie.

Tymczasem na giełdach rozwijała się prawdziwa gorączka radowa. Produkcja rosła i ceny rosły. W chwili, kiedy rosła gorączka rosła też ich sława — ale wtedy spadł na Marię cios. W ciągu sekundy śmierć zabrała Piotra Curie a reszta życia Marii była już tylko nieustającą ofiarą.

„Kiedy się urodziłam — pisze Ewa Curie — matka miała lat trzydzieści siedem. Gdy podrosłam na tyle, aby móc ją zrozumieć i poznać, była już kobietą starą i bardzo sławną. A przecież ja nigdy w niej nie widziałem właśnie tej „słynnej uczoniej“, zapewne dlatego, że myśl o swojej wielkości i sławie była dla Marii Curie czymś tak dalekim i nieważnym. Zawsze natomiast, jak tylko zdołam sięgnąć wstecz pamięcią, dostrzegam przy sobie ubogą studentkę, opętaną przez sny płomiennie — Marię Skłodowską z lat, na długo poprzedzających moje urodzenie“.

Maria Skłodowska urodziła się w Warszawie 7. listopada 1867. W czasie studiów z lekkim sercem wykreśliła ze swego życia rozrywki i zebrania wśród znajomych. Pracuje ciężko w Paryżu studiując równocześnie matematykę, fizykę i chemię.

Dwadzieścia dziewięć miesięcy pracowali z Piotrem w ciężkim trudzie, zrazu w skromnym laboratorium Szkoły Fizycznej, potem w „historycznej“ szopie przy ul. Lhomond. Wysiłki wyczerpują państwo Curie i podkopują ich zdrowie. Piotr Curie jest szczególnie wyczerpany. W roku 1898 wakowała katedra w Sorbonie — katedra chemii fizycznej. Okazało się, że znakomity Curie nie miał dosyć poparcia, wiedza to jeszcze „za mało“. W dwa lata później wolną katedrę mineralogii — do której ma on szczególne kwalifikacje — otrzymuje ktoś inny. W roku 1902 przyjaciele nakłaniają go, by pozwolił przedstawić się na członka Akademii



P. Kaźmin — kierownik artystyczny chóru

czym. W porównaniu z tańcem na przykład oglądanego w ubiegłym roku baletu angielskiego — choreograf a ra-



Taniec „Gusaczok“ (Fot. 3 Ag. II. APD)

T. S-ki

„Nieoficjalna” a ważna muzyka

Dobiegamy ostatnich dni muzycznego sezonu. Za tydzień — dwa rozjadą się muzyki i publiczności na dobre zastępowane letnie wakacje. Wprawdzie po miesiącu zjawia się znowu nad Wartą ale właściwie zacząć pracować na estradach i na widowni dopiero w październiku. Bo aż w tamtym miesiącu u nas zaczyna się nowy sezon koncertowy. Trzy miesiące „wakacji muzycznych”, to długa przerwa dla miłośników ale trudno na nią poradzić. Jest, będzie i tyle! W pierwszym z trzech zamierzonych felietonów spróbujemy się zastanowić pokrótce nad problemami „nieoficjalnej” a ważnej — jak się w tytule napisało — muzyki w naszym mieście. Co to za muzyka? Gdzie ją słyszać? Kto z niej korzysta?

„Upowszechnienie kultury muzycznej”! Iluż ludzi miało ten poważny termin na ustach podczas tysiąca najrozmaitszych posiedzeń i komitetów w skalach od dzielnicowej miejskiej po całe Państwo! Szeroka rzesza miłośników świata dźwiękowego chce jednak coś bliżej o tym wiedzieć. Chce zetknąć się z tym w żywej praktyce. Jak się tedy tę muzykę „upowszechnia” w Poznaniu i na jakie natrafiają prowadzący przeszkody? Więc nie ulega wątpliwości, że dom wtedy dopiero stoi mocno, gdy ma żelazobetonowe fundamenty. Jest to oczywiście przenośnia, za której użycie architektki nie powinni się zjadliwie uśmiechać, gdyby coś było nie w porządku. Mam na myśli umykalnie nie młodzieży, bo ona tylko jest nadzieją i ona może być inkubatorem przyszłych, już nie tylko talentów muzycznych, ale po prostu konsumentów, czyli słuchaczy na wszelakiego typu widowiskach koncertowych i kameralnych. Nie podobna na tym miejscu nie wspomnieć o działalności „Ormuzu” przed minioną wojną. Tadeusz Ochlewski zasłużył sobie na wielką wdzięczność społeczeństwa tym, że potrafił zorganizować „ekipy” artystyczne, nie lekające się koncertu w szpiecie-remizie straży ogniowej w Klecku lub Nowym Targu. Ci dobre woli artyści nieśli pomiędzy prowincjonalną młodzież piękno świetnie wykonywanej muzyki. Ale dziś „Ormuz” nie istnieje. Natomiast młodzież słuchacza mają poza sobą wojnę i to wojnę w najbardziej osobistych przeżyciach. Czy im dziś muzyka potrzebna? Czy zaryzykują pójście na koncert? Nie ma powodu biadać nad uprzywilejowaniem sportu w życiu młodzieży, zarówno miejskiej, jak i wioskowej. Tak jest i trudno z tym objawem walczyć. Trzeba tylko muzykę ustawić w należytych miejscach i w odpowiedniej do sportowych zainteresowań proporcji a wszystko będzie dobrze. Więc sprawa zasadnicza: szkolne audycje muzyczne!

Sprawa jest o tyle prosta o ile kurator danego okręgu zdaje sobie sprawę z ważności muzycznego wychowania młodzieży. Wtedy wszystko jest na najlepszej drodze i istnieje możliwość urządzania systematycznych audycji. Będzie w nich udział gremialnie i... obowiązkiem młodzieży całego zakładu szkolnego i wtedy dopiero można mówić o upowszechnieniu. Zostawmy na razie na uboczu prowincję i pomówmy o Poznaniu. Będę pisał wyłącznie o znanych sobie zdarzeniach. Pomiję „całość” zagadnień i faktów. Otóż dopiero od marca bieżącego roku udało się zorganizować zupełnie „powszechnie” sprawę tych audycji. Kuratorium w osobie „dowódcy” p. Biedowicza zainteresowało się problemem żywo i kategorycznie. Poszedł okólnik po szkołach

i można było wreszcie działać. Pod przewodnictwem „duchowym” i faktycznym dra Tadeusza Szelińskiego odbyło się posiedzenie kilkunastu zainteresowanych w tym ludzi i Towarzystwo Filharmonii Robotniczej zaczęło pracować. Kierownictwo Komisji Szkolnych Audycji Muzycznych powierzył dr. Szeliński drowi Jerzemu Młodziejowskiemu i w marcu zaczęto pierwszą serię audycji. Do końca roku szkolnego postanowiono odbyć cztery „występy” — raz w miesiącu Planiem objęto wszystkie gimnazja i licea miasta oraz trzy „gimnazja dla dorosłych”.

Dość młodych słuchaczy obliczono na prawie 4300 osób. Do tej chwili odbyły się trzy serie audycji. Cała młoda masa uczennic i uczniów wysłuchała tych obowiązkowych wprawdzie ale chyba przyjemnych godzin muzyki. Pierwsza audycja w marcu miała tytuł: „Pieśni Stanisława Moniuszki”. W szkolny świat poszły (tramwajami) dwie ekipy wykonawców: Maria Sowińska. Jerzy Adamczewski wraz z Eugeniuszem Koppem i Zofia Charłampowicz, Marian Woźniczko z Wiktoorem Buchwaldem. Śpiewano tu i tam 14 pieśni Moniuszki. Komentatorami byli w tej i w dalszych audycjach: Stanisława Szelińskiego i Jerzy Młodziejowski. Audycje były w naszych aulach szkolnych. Nie wszędzie jest dużo miejsca, nie wszędzie instrument w należywym stanie, ale za to wszędzie była ujmująca gościnność i szeroko otwarte oczy. W iluż to szkołach po audycji przychodziła delegacja z osobami, poza oklaskami podziękowaniem!

Druga audycja zaznajomiła młodzież z „Dawną muzyką i dawnymi instrumentami”. Grali wybitni specjaliści: Jan Rakowski i Kazimierz Flatau, obaj profesorowie Konserwatorium. Pierwszy za-demonstrował wiele d'amore i altówkę — drugi klawesyn. Słyszeliśmy utwory Bacha, Haendla, Stamica, Milandrea, Rameau i Daquina. Ta audycja odbyła się w kwietniu i wywołała dużo pochlebnych komentarzy pomiędzy słuchaczami, którzy tłumnie „oblegali” wiele d'amore. Ilość słuchaczy wynosiła 4207 osób.

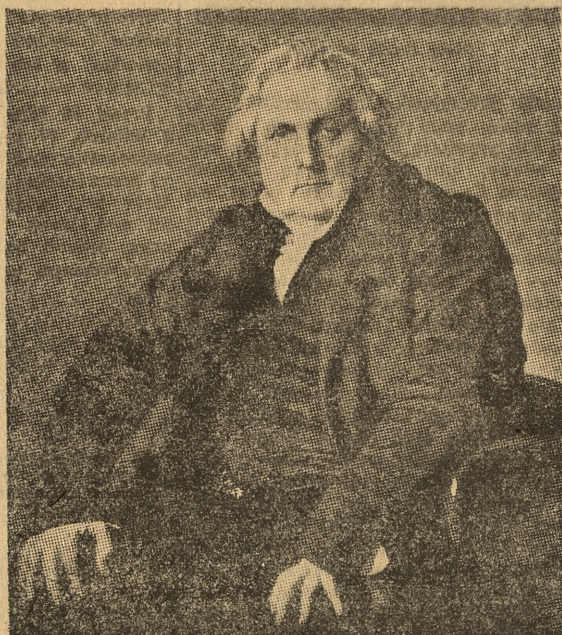
Audycja trzecia odbyła się już w auli uniwersyteckiej i tylko w dwóch „wykonaniach”. Pokazaliśmy młodzieży orkiestrę symfoniczną w programowej muzyce symfonicznej. Grała Filharmonia Poznańska w składzie 60 osób pod batutą Mariana Obsta. Wykonano Smetany „Weltawę” i Noskowskiego „Step”. Zgromadzono młodzież w ogólnej ilości 3617 osób. Liczba w porównaniu do poprzednich spadła — matura i kolokwialne egzaminy u „doro-

ślących”! To już była okazała audycja i zdołała zachęcić niechętnych, bo trzeba i z tym się liczyć, że natrafimy na swoiście pojęty „ruch oporu”. W połowie czerwca odbędzie się jeszcze audycja czwarta pod obiecującym tytułem: „Adam Mickiewicz a muzyka”. Projekty na przyszły rok szkolny są w opracowaniu. Tyle tylko wspomnieć można, że młodzież będzie miała dziesięć audycji. Ułożone będą tak, by różnorodnością treści zajęły młodych słuchaczy. Wykonawcami mają być najlepsi artyści Poznania Młodzież posłyszycie pieśni ludowe słowiańskich kompozytorów, pozna bliżej wiolonczelę, klarnet, waltornie, zaznajomi się z muzyką góralską posłyszycie chóry męskie i mieszane w audycji o muzyce religijnej, dokładnie pozna Chopina, będzie zbiorowo w operze i... ale to doprawdy muzyka bliskiej wprawdzie ale jeszcze — przyszłości.

Taki to jest problem „nieoficjalnej” a ważnej muzyki w Poznaniu. Teraz łatwo zrozumieć, że cudzyśłów przy tytule jest... nie tylko niepotrzebny, ale nawet i szkodliwy! Bo to już całkiem oficjalna muzyka. Młodzież płaci po 20 złotych od osoby, przy czym dyrekcja szkół same zwalniająca według własnego uznania niezamożnych i z tej drobnej opłaty. Z tej sumy idą skromne honoraria dla wykonawców. Organizacja działa sprawnie a młodzież już zdołała się przyzwyczaić do tych przerw w nauce.

Pisząc te słowa wyraźnie zaznaczam, że nie ująłem w mój rozważaniach dotychczasowego ruchu „audycji”. Wiem, że w gimnazjum Kantego czynnie działał W. M. Rozmarynowicz, sprzedający młodzieży Raoula Koczalskiego i Marinkovića... wiem, że gdzie indziej równie dobrze brzmiała muzyka. O ile tylko uda się w roku przyszłym szkolnym utrzymać zainteresowanie młodzieży — grata będzie zachodu i trudu organizatorów oraz wykonawców. Obejmie się też siecią audycji bliskie Poznaniowi miastu prowincji oraz poznańskie szkoły średnie zawodowe. A więc... do września na audycjach szkolnych! Obowiązkowych! I chętnie słuchanych!

Jerzy Korab



Ingres — „Portret Bertina”

Malarstwo w anegdocie

INGRES

W poprzednim artykule była mowa o malarstwie romantycznym, o dwóch jego najwybitniejszych przedstawicielach Géricault i Delacroix. W przeciwieństwie do ich sztuki stoi twórczość współczesnego im, należącego do tej samej generacji wielkiego malarza francuskiego Jana Augusta Dominika Ingres'a (1780—1867), który jako uczeń Davida, pozostał wierny klasycyzmowi. Jako klasyk maluje odpowiadające duchowi stylu wielkie kompozycje historyczne, najsilniej i najbardziej indywidualnie wypowiada się jednak w swoich jasnych, z precyzją starych mistrzów malowanych portretach i świetnych aktach kobiecych. Większość jego obrazów, z których „Zródło” i „Portret Bertina” najlepiej może charakteryzują ten właśnie rodzaj twórczości artysty, znajduje się w Luwrze.

Ingres cenił przede wszystkim umiejętność rysunku i uważał go za jeden z najgłówniejszych postulatów dobrego malarstwa. „Rysunek obejmuje trzy ćwierci i pół tego, co stanowi malarstwo” — to jego zdanie. W rozmowach z innymi malarzami powtarzał często: „Rysować to sprawa przyzwoitości, rysunek to sprawa honoru”. Nad drzwiami do swej akademii kazał umieścić napis: „Tu udziela się nauki rysunku”. Dbał o czystość formy i linii, o zachowanie idealnych proporcji, o rzetelne podejście do treści obrazu. Do swych uczni mawiał: „Rysując figurę, starajcie się przede wszystkim dobrze uchwycić jej typ, dobrze scharakteryzować jej ruch. Nie potrafię nigdy za dużo wam powtarzać, że ruch to życie”.

Znakomite opanowanie rysunku ułatwiało mu też wniknięcie w głębię psychiki osoby portretowanej i wydobycie maksimum wyrazu ducha i charakteru na swych portretach. Najlepszym przykładem tego jest może portret Bertina, właściciela wielkiego dziennika „Journal des Débats”, który jest nie tylko doskonałym wizerunkiem portretowanego, ale w którym czuje się syntezę całej burżuazji orleańskiej; 1830 roku, bardziej solidnej niż elegancji, w którym z masywnej postaci, z zimnego spojrzenia i ukrytej energii bije całe materialistyczne nastawienie epoki.

Ingres pracował zawsze z wielkim zastanowieniem i bardzo powoli. Kiedyś, gdy portretował pewną damę z jej synkiem, minęło sześć miesięcy, w których artysta ciągle zaczynał portret na nowo, z cierpliwością, tak charakterystyczną dla jego twórczości. W końcu posiedzenia stały się nieregularne, aż wreszcie zupełnie ustały. Przeszły lata, któregoś dnia przypomniało się Ingres'owi o niedokończonym obrazie, wyciągnął go z kąta i zaprosił ową damę na ostatnie posiedzenie. W chwili, gdy zabierał się do pracy, spostrzegł, że przyszła sama i zapytał się: „Dlaczego nie zabrała pani ze sobą synka?” Na to dama uśmiechnęła się i odpowiedziała: „Nie mogłam go z sobą przyprowadzić, gdyż służy w wojsku; niedawno został nawet porucznikiem dragonów”.

Jako klasyk, dla którego ideałem i mistrzem duchowym był Rafael, o którym mawiał: „Rafaël to nie tylko największy z malarzy, to piękno, dobro, to wszystko”, był Ingres wielkim an-

tagonistą Delacroix. Gdy spotykali się razem na przyjęciach czy t. p., dochodziło zawsze między nimi do scysji i jeden z nich, urażony, opuszczał towarzystwo. Przechodząc obok obrazów Rubensa, tak uwielbianego przez Delacroix, podobno Ingres zakrywał ręką oczy. Mawiał wreszta o nim: „Bez wątpienia, Rubens jest wielkim malarzem, lecz on właśnie jest tym, który zniszczył wszystko”.

Ingres, tak ceniony przez dzisiejszą epokę, nie był rozumiany za życia. Traktowany raz jako rewolucjonista, to znowu jako suchy akademik, nie był uznawany przez swoich, mimo zaszczytów i godności, jakich dostąpił pod koniec życia. Sam to czuł i mawiał w chwilach gorczy: „Rachuję wiele na ma starość, ona mnie pomści”.

Podczas wielkiego przyjęcia, jakie urządził książę Napoleon z okazji wystawy sztuki na powszechnej wystawie w Paryżu w 1855 roku, dużo było oczywiście mowy o wystawiających malarzach. Pewna grupa artystów rozmawiała o Ingres'ie. „Co właściwie znajdują panowie w nim tak podziwu godnego?, jego rysunek?, zapytał Delacroix.

„Nie, Ingres rysuje jak kominiarz” odpowiada jeden z obecnych, malarz Vernet.

„Czy koloryst?”

„Nonsens, jego obrazy mają kolor słomy!”

„Może kompozycja?”

„Śmieszne, żadnej figury ludzkiej nie potrafi on umieścić właściwie na swych obrazach, spojrz pan na jego „Symposion”, chaos jak w wozie meblowym”.

„Cóż więc, jego forma, sposób ujęcia?”

„Forma, sposób ujęcia, jest pan szalony, on maluje przecież z manekinów, może się pan sam przekonać na jego „Złotym wieku”.

Na to odpowiada wreszcie Delacroix: „Mimo swoich błędów, jest jednak Ingres wcale niezłym malarzem.” Vernet obruszył się: „Co, Ingres niezły malarzem? To największy artysta stulecia!”

Rozmowa ta, zanotowana w „Souvenirs litteraires” Maxime du Campa z Akademii Francuskiej, świetnie charakteryzuje stosunek współczesnych do Ingres'a i równocześnie daje poznać, jak trudne było jego życie.

Umarł Ingres w roku 1867, mając 87 lat. Na kilka dni przed śmiercią wykonał jeszcze ostatni rysunek, według Giotta „Złożenie do grobu”. W dniu, kiedy go skończył, gościł u siebie szereg przyjaciół, między innymi kilku muzyków, którzy grali mu ulubione kompozycje Beethovena, Mozarta i Haydna. Po wieczorze Ingres odprowadził wszystkich do drzwi. Stycziwna noc była bardzo mroźna, artysta nieokryty, pomagał ubierać się paniom, i gdy mu ktoś zwrócił uwagę, że się naraża, odpowiedział: „Ingres będzie żył i umrze w służbie pań”. Przeciwbiony już, stworzył jeszcze w mieszkaniu okno, by wypuścić dym z kominka. Nabawił się zapalenia płuc i kilka dni później już nie żył.

P. Michałowski

CZESŁAW ROMUALD CHRULA (Godło „Romi” — Poznań)

Żywy płomień

Jeszcze z lat szkolnych wiedziałem o barwie, temperaturze intensywności i wielu innych reakcjach fizycznych zachodzących przy zjawisku spalania. Uczono mnie dużo ciekawych rzeczy. Ale, że płomień może być żywym, że to życie może udzielić się innym, że od blasku i żaru płonącego ognia zali się w ludzkim sercu gorący płomień zapału i wiary, o tym nikt mnie nie mówił. A jednak poznałem ludzi o podobnych sercach. Nie zamieniałem z nimi słowa a rozumiałem ich serdecznie i chociaż byli daleko widziałem ich wyraźnie.

Dziwne było to nasze pierwsze i bodaj jedyne spotkanie.

Któregoś dnia jesienią, schodziliśmy z przyjaciółm na kamiennych stopniach bulwarów Chrobrego. Wieczór ciemniał od szarych obwisłych chmur. Górą wiatr szarpał szeleszczącymi koronami drzew. Słyszmy w milczeniu potracając stopami zeschnięte już liście. Daleko na Odrze buczała okrętowa syrena.

Nagle nad północnym horyzontem zajaśniały luno, świeca szeroko na epochmurniałym, brunatnym niebie.

To jakby zorza polarna albo pożar? pomyślałem zdziwiony przystając na chwilę.

— Piękny widok co? — zagadnął towarzyszy — a pomyślał tylko, ile w tym miesią się pracy, ile wysiłku.

— To Stołczyn? — starałem się upewnić.

— A coś myślał?

— Nic takiego — odpartem wymijająco. Rzeczywiście, jak mogłem o tym nie pamiętać. Stołczyn, Stołczyn, powtarzałem w myśli. Kto dzisiaj nie słyszał o tej hucie.

— A pamiętasz jak byliśmy tam po raz pierwszy? — odezwałem się z ożywieniem. — Pamiętasz ile to się mówiło czy Stołczyn ruszy. Przysnam się tobie, że i ja wówczas wąpiłem. Nie mówiłem tylko dlatego, że i tak było dosyć wątpliwości. Ale nie masz pojęcia jak ja się ciesze, że Stołczyn już ruszył, że nie zawiódł pokładanych w nim nadziei. Zawsze przecież to ogromny sukces. Zeby w tak krótkim czasie z ruiny i zgłiszczy odbudować tak ogromną hutę, popatrzyć, kto by to przed rokiem przypuszczał.

Z upodobaniem śledziłem jak luno nad Stołczynem to przygasała to wzbuchała znów za chwilę krwawym blaskiem, rozprzestrzeniając się daleko na widnokręgu, Niskie chmury, zabarwione czerwienią, sunęły po niebie w dziwacznych skrętach, pasmach i postrzępionych kłębach. Można by było tak patrzeć bez końca.

— Byłeś tam kiedy — spytałem towarzysza. — I co? jak tam wygląda?

— Czy ja wiem jakby to sobie powiedzieć?... Niby to ogromne dzieło a dokonane tak po prostu, tak zwyczajnie... Dzisiaj to już wszystko idzie tam tak normalnie jakby nigdy na tym miejscu nie było ruin.

Zeszliśmy z ostatnich stopni, zatrzymaliśmy na przystanku tramwajowym.

Bulwarami spacerowały pojedyncze pary. Usiedliśmy na pustej ławce. Od nadbrzeża wiało wilgotnym chłodem. Stalki w porcie przesuwały się cicho jak widma. Roztrącana, płynąca woda lśniła odbiciem licznych świateł przegladających się w jej ciemnej głębi.

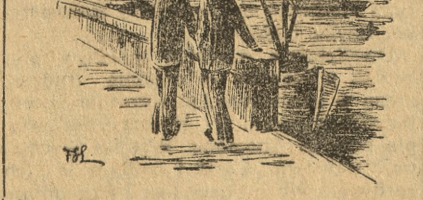
Otworzyłem papierosnicę, czując przyjaciele. Kiedy błysnął płomień zapalnika, spostrzegłem jego ożywną twarz.

— Wiesz co? — zawołał zaciągając się dymem — najlepiej jak jutro pojedziemy tam na miejsce. Zobaczysz ludzi którzy odbudowali Stołczyn. Zobaczysz z bliska hutę, żywy ogień, płynące żelazo.

— Hutę już widziałem.

— Jak to, ale to nie jest taka zwykła hutka. To jest całkiem co innego. Czy ty tego nie rozumiesz?

— Rozumiem, rozumiem. Wiem nawet co masz na myśli. Ze to plan trzyletni, wycięg pracy, podstawa nowej rzeczywistości itd, itd. No widzisz,



dziemy tam na miejsce. Zobaczysz ludzi którzy odbudowali Stołczyn. Zobaczysz z bliska hutę, żywy ogień, płynące żelazo.

— Hutę już widziałem.

— Jak to, ale to nie jest taka zwykła hutka. To jest całkiem co innego. Czy ty tego nie rozumiesz?

— Rozumiem, rozumiem. Wiem nawet co masz na myśli. Ze to plan trzyletni, wycięg pracy, podstawa nowej rzeczywistości itd, itd. No widzisz,

że umiem wszystko na pamięć — kończyłem spiesznie jednym tchem.

Spojrzał w moją stronę. W nikłym świetle żarzącego się papierosa spostrzegłem w jego oczach oburzenie. Nie powiedział jednak ani słowa.

Na przystanku z brakiem i zgryztem zatrzymał się tramwaj.

— Chyba pójdziemy — próbowałem przerwać to przykre milczenie.

— Wruszył tylko obojętną ręką.

— Zebyś był teraz w Stołczynie — zaczął mówić w zamyśleniu. — Gdybyś widział ciężką pracę hutników, poznałbyś ich wysiłek i trud. I rozmawiałbyś z tymi, którzy tam są od samego początku, nigdy byś w ten sposób się nie odzywał.

Tramwaj ruszył wolno i głośno dzwoniąc przesunął się z szumem wzdłuż bulwarów, i nknąc na zakręcie. Daleko w porcie terkotała motorówka. Poruszylem się niecierpliwie na ławie.

— Nie wiem; może żeś się nad tym nie zastanawiał — ciągnął dalej. — Sądziłem dotychczas inaczej. Przecież sam przed chwilą mówiłeś z taką radością o tym, że Stołczyn ruszył. Ale dzięki komu? w jaki sposób? — Wiedział, akurat w zeszłym roku po twoim wyjeździe byłem tam po raz drugi. Po ruinach i zgłiszczach uwijały się pierwsze gromady robotników. Jedni porządkowali teren, torując z łopatami i kilolami przejścia wśród ruin. Drugi remontowali te części, które groziły zawaleniem i niezdane były do użytku. A jeszcze inni składali złomy żelastwa na jedno miejsce koło dźwigu. Jednak cały ich mrówczy wysiłek, wobec takiego ogromu zniszczenia wyglądał beznadziejnie. W tym czasie grupa inżynierów — specjalistów krążyła po poszczególnych obiektach, badając roz-

miary zniszczenia, zdątność użytkową uszkodzonych części, pilnie coś notując i prowadząc ożywione dyskusje.

Wszędzie gdzie przeszli śledzili ich zanepokojone spojrzenia robotników. Zdawało się w nich czytać jakby nieme pytania. Co będzie? czy huta w ogóle ruszy?

Wreszcie badania zakończono. Inżynierowie wrócili wolno, oglądając się po drodze na hutę, która stała jakby martwa, zimna.

— I cóż panie inżynierze? — podszedłem do jednego ze znajomych. Rozłożył ręce. Postaramy się zrobić wszystko co jest możliwe. Ale kto może przewidzieć... Takie trudności, rozumie pan, ta huta nie jest jedyna. Wszędzie zniszczenie, nie wiadomo od czego zaczynać.

Koło aut grupowały się gromadki robotników. Jakiś mężczyzna w szarym ochronnym płaszczu podszedł do znajomego. — Panie inżynierze, co mamy powiedzieć ludziom? Już i chęci brak do pracy — dodał cicho.

Inżynier zamyślił się patrząc w ziemię. — Nie można nic przed czasem powiedzieć. Huta musi ruszyć bo taka jest decyzja rządu — kiedy, to jeszcze nie wiadomo. Ale może im pan powiedzieć, że w dużej mierze będzie to zależy od nich samych, od ich pracy. Tak niech pan im to powie.

Widziałem, że tamten był nieprzekonany. Może jeszcze chciał o coś zapytać. Ale zaczęto wsiadać do aut, nie było już czasu. Ostatni uścisk dłoni, trzask zamykanych drzwi i odjazd. Przez tylne okienko widziałem jeszcze twarze robotników, jakby przygaszone, pochmurne. Nie masz pojęcia, jak mnie ich żal. Po drodze mój znajomy próbował się usprawiedliwić, tłumacząc że

Dr Tadeusz Nowakowski

Muzyka babilońska i asyryjska

Wiemy z wykopalisk Asyrii, obecnego Iraku, z obrazów i reliefów tam znalezionych, nadto z kilku tekstów sumeryjskich, czyli przedsemicko-babilońskich, iż w porównaniu z dyskretną i poważną muzyką egipską — muzyka Azji zachodniej osobliwie babilońska i pochodząca od niej asyryjska, nie miała wznioślejszego ducha, w sobie, nie była tworem poważniejszej myśli, górnějších wyobrażeń i pojęć. Była grubo ciosana, chaotyczna i niezgrabna. Wykonywana jedynie przez niewolników, głównie przez piękne i bogato ubrane niewolnice służyła też tylko — niewybrednej zabawie i orgiastycznym uroczynom. Ogłaszając powodzą dźwięków — podrażniała nerwy i zmysły. Rozkoszowali się tą muzyką pyszni i przepychem otoczeni „wielcy” królowie, zwycięzcy wodzowie, gdyż głosiła ich sławę aż po „skraj świata”. Korzystali z jej usług również dygnitarze, możni pańowie, wielkie panie. Brał w niej udział także lud, chociaż w znacznie mniejszym stopniu w swej pieśni ludowej.

Spokrewnione były z tą muzyką pewne gąłęzie dawnej muzyki greckiej. Dwie np. główne tonacje greckie, frygijska i lidyjska zdają się wywodzić z Małej Azji. Gra na aulosie, instrumencie podobnym do szalamei lub klarinetu, lecz z podwójnym stroikiem trzcinowym w ustniku, była sztuką, przez Azjatów szczególnie cenioną. O frygijskim aulecie Olymposie mówi podanie, że zaprowadził starszą enharmonię, czyli zredukował siedmiostopniową skalę do pięciostopniowej przez opuszczenie dwóch stopni. Z tego można by sądzić, że także Azjaci zachodni znali archaiczną skalę pięciostopniową, która nie miała stopni półtonowych i którą odnajdujemy nawet na najdalejszym wschodzie w Chinach oraz w najodleglejszym zakątku zachodu; to jest w

Szkocji. Jeżeli Grecy otrzymali od Egipcjan skalę siedmiostopniową, to z braku ścisłych wiadomości o Olymposie pozostaje jeszcze kwestia otwarta, czy enharmonia pięciostopniowa była natomiast do starożytnego sposobu myzowania, czy też nie stanowiła, na odwrót, zapomnianego już przedstonka albo okresu wstępnego, z którego przechodziło się potem do siedmiostopniowego systemu egipskiego. W każdym razie była późniejsza enharmonia Greków z jej ewentualnymi, dziś na ogół zaprzeczonymi ćwiercotonami czymś zupełnie innym, choć znów przyznać trzeba, że i ona wskazuje na wielokrotne rodzaje strojenia instrumentów oraz na rozróżnienie, szczególnie u śpiewaków interwali mniejszych od półtonów, czyli rzeczy, które odgrywały u orientalnych narodów, a więc także babilońskich i asyryjskich, dużą rolę.

Poza muzyką świecką istniała także muzyka religijna, zwłaszcza babilońska. Nie posiadamy jednak bliższych wiadomości o niej.

U „wielkich wtajemniczonych” chaldejskich sędzi rozwój teorii jeszcze w innym kierunku. Otóż łączyli oni interwale, kwarty, kwinty i oktawy z zasadniczymi poglądami astrologicznymi i ze spekulacją liczb. Łączyli je też według Plutarcha historyka greckiego, z porami roku — wiosna wobec jesieni była kwarta, wobec lata kwinta, w stosunku do zimnej oktawy. Świat jest w ogóle wielkim akordem muzycznym, gwiazdy szumiały w eterze między sobą, niebo jest dźwięczącym obrazem wiecznej harmonii, muzykę potwierdzają prawa budowy świata, z kosmicznej dali pochodząca.

I w muzyce babilońsko-asyryjskiej odgrywały harfy ważną rolę. Różniły się jednak znacznie od egipskich. Były bowiem trójkątne, pięć czwartych metra wysokie i lekkie. Noszono je wygodnie, albowiem wisiły na pasku, do bioder i ramion przymocowanym. Dwa boki miały długie, trzeci dółny — stosunkowo krótki. Przedni bok, nieco pozorny, stanowiła struna, bo nie miał on listwy drewnianej, górą z dołem łączącej. Drugi bok tylny, przylegający dołną połową do brzucha i piersi grającego, wyginający się górną partią skośnie naprzód, był równocześnie czworokątnym, nieraz pięknie dekorowanym pudem rezonansowym. Dolny bok, nie tylko względnie krótki, lecz i niezbyt mocny, służył do nawijania nań przynajmniej szesnastu strun, które wychodziły z pudła rezonansowego. Nie można ich było wszakże stroić, ponieważ nie posiadały odpowiednich



Pochód muzykantów. Harfy i cymbały.

coż miał tym ludziom powiedzieć? Twierdził, że teraz w tych ciężkich powojennych warunkach przeważnie zdania jesteśmy na siłę swych własnych dwojga rąk. Niby to wygląda niemożliwe, ale tak jest. Chociaż przy takiej hucie to nawet i najzdolniejsze ręce nie dużo pomogą. Tu trzeba sprzętu, dźwigów, gotowych konstrukcji, a skąd to wszystko brać? Znajdź pan wyjście? co tu zrobić?

Słuchałem jego słów, patrząc bez uwagi na mijany krajobraz. Naprawdę, że to była ciężka sprawa. Bo niby wszystko jest wytłumaczalne. Wojna, zniszczenie, ruiny... Ale pozostali jeszcze ludzie, żywi ludzie, którzy chcą pracować, tworzyć, zatrzeć ślady zniszczenia. Zapomnieć lata grozy i niebezpieczeństwa. Cóż, kiedy mimo najlepszych chęci stają z wątpliwością w oczach, wobec ogromu pracy, której nieraz nawet wzrokiem ogarnąć niepodobno.

Zacisnąłem bezsilnie pięści na pluszowym oparciu. Poczułem się dziwnie nieswojo. Te bliższe okucia, miękkość siedzenia, cały ten komfort pędzący limuzyny, wyprowadzał mnie do reszty z równowagi.

Przed nami z oddali Szczecin poczynał się wynurzać ponad opary wieczornej mgły ostrymi wieżycami kościołów. Odrą płynęły wolno statki, pozostawiając za sobą rozwekłe smugi dymów.

A przecież i tutaj kiedyś, zaraz po wojnie nie było żadnego ruchu, żadnego życia. To chyba i Stołczyn tak samo ożyje? — pomyślałem z pewną nadzieją.

Później ile razy spotykałem mojego znajomego inżyniera, to zawsze nie przestawałem go wypytywać, co sły-

chać w Stołczynie. Odpowiadał czasem z ożywieniem, a czasem z rezygnacją. Różnie bywało... Ale może to już Ciebie nuży? — przerwał opowiadanie, zwracając się do mnie.

— Ależ skąd, mów dalej.

W powietrzu rozległ się stuk zamkniętej papierosnicy. W ciemności za jaśniał drżący płomień zapalnika.

— Po długim czasie spotykam mojego znajomego w niezwyklej podnieceniu — podjął swe opowiadanie. — Z daleka już mnie witał z takim ożywieniem, aż się przechodnie obracali na ulicy. — Wyobraź pan sobie — krzyczy mi głośnie — za kilka dni huta rusza. — Nie, chyba pan żartuje? — spojrzałem na niego podejrzliwie. Roześmiał się tylko długo i serdecznie. Wiedziałem, że pan tak powie, wiedziałem. No, to jeszcze nie koniec, nie wiadomo jak pójdą pierwsze próby — dodał nagle poważnie.

Z niepokojem oczekiwałem tego decydującego dnia. Wreszcie jedyną. Trasa Szczecin — Stołczyn wydawała się niemożliwie długa. Już z daleka dostrzegłem dymiące kominy Stołczyna. Czulem ogarniające mnie wzruszenie. Kiedy zajechaliśmy na miejsce wszystko już było przygotowane. Zbliżyły się ostatnie minuty. W pobliżu wielkiego pieca było niemożliwie gorąco. Musieliśmy podobnie jak robotnicy ubrać na siebie skórzane okrycia o szklanych okularach. Poprzez kolorowe wierzniaki można było zobaczyć na dnie pieca roztopione wrzące żelazo. Robotnicy uwijali się w swych ochronnych ubraniach podobni raczej do robotów aniżeli do ludzi. Według obliczeń topliwość żelaza powinna być dostateczna. Zaczęto przebijać zale-

W ubiegłym okresie oktawy Bożego Ciała silnym głosem dała znać o sobie rodzima kultura ludowa w manifestacyjnych procesjach Bożego Ciała, które jak w żadnym innym mieście polskim są obchodzone uroczysto przez cały tydzień. Jest pocieszającym objawem, że stroje ludowe (bamberki), zwyczaj (strojenie ulic, sprzedawanie „rur”) zachowały się do dziś pośród życia wielkomiejskiego.

„Świat pracy” miał w tym okresie także możliwości korzystania ze sztuki w szerszej niż zwyczajnej mierze: Zespół Pieśni i Tańca Rosyjskiego im. Piatnickiego, złożony ze 164 członków w przejeździe przez Poznań — wityny tu uroczysto — dał dwa koncerty sztuki regionalnej ludowej w stołówce fabryki Cegielskiego. Teatr Wielki wystawił „Sprzedaną Narzeczoną”, a Teatr Nowy „Dożywocie” ze Solskim dla członków Związków Zawodowych po znacznie niższych cenach. Poza tym odbyły się koncerty dla specjalnych grup pracowników: dla pracowników Urzędu Wojewódzkiego 28. V, w świetlicy Związku z udziałem Klary Kaulfusówny i Chóru Poznańskiego pod batutą prof. Broniewskiego i koncert dla pracowników miejskich. W niedzielę 6. VI, grała orkiestra Zakładów Miejskich Siły, Światła i Wody pod batutą St. Sternalskiego w muszli parku Wilsona. W końcu więc doczekaliśmy się naprawdę „muzyki dla wszystkich” w ogrodzie mającym tradycje kulturalno-wystawowe.

Z innych koncertów — raczej dla elity — przy niedostępnym szaremu człowiekowi cenach biletów — zanotować wypada recital fortepianowy Imre Ungara.

Jeśli w dzisiejszym przeglądzie mowa o sztuce dla szerokiej kół, nie sposób przemilczeć o „Teatrze Aktora i Lalki”, pracującym niezmiernie pod kierownictwem Heleny Lubicz dla dzieci. Teatr ten borykał się z wielu trudnościami przez cały sezon ubiegły. Marionetki bowiem nie są kasowe. Dlaczego? — zapyta ktoś może — wszak dzieci na ogół przepadają za

lalkami? — Tak, to prawda, ale okazuje się, że rodziców lalki nudzą, a ponieważ rodzice towarzyszą na przedstawieniach dzieciom, więc wybierają sztuki z żywymi aktorami i perswadują dzieciom, że na „lalki” chodzić nie warto. Trudna sytuacja groziła prawie zamknięciem teatru w ogóle. Na szczęście przyszły już z Warszawy pomysły rozstrzygnięcia. Teatr zostanie utrzymany jako Państwowy Teatr Aktora — dla dzieci, pod kierunkiem Heleny Lubicz z tym, że w ciągu sezonu wystawi dwie tylko sztuczki kukielkowe.

W szeroko zakrojonej akcji powszechnego współzawodnictwa na Ziemi Lubuskiej odbyła się w pierwszych dniach czerwca konferencja w ekspozyturze Urzędu Wojewódzkiego w Gorzowie specjalnie utworzonego komitetu. Jedną ze sekcji komitetu jest sekcja Oświaty i Kultury. Opracuje ona 3-letni plan uaktywnienia życia kulturalnego na Ziemi Lubuskiej i związania go silnie z życiem w centralnej Polsce. W akcji tej udział bierze: Oświata Rolnicza, Oświata dla Dorosłych przy Inspektoracie Szkolnym i PCK, mający na Ziemiach Odzyskanych wszędzie silne placówki. Jednym z punktów programu będzie zorganizowanie olimpiady sportowo-artystycznej w Gorzowie.

Silną pomocą w całej akcji będzie placówka w Łagowie. Znajdujący się tam zabytkowy zamek, w użytkowaniu historyków sztuki — równocześnie siedziba kursów malarskich uczniów Szkół Plastycznych Warszawy, Krakowa, Poznania — będzie centrum promieniującym duchowo na całą Ziemię Lubuską. Przyjeżdżający tam uczeni, artyści plastycy, muzycy (projektowany przyjazd Filharmonii poznańskiej) przyniosą z sobą dary sztuki i wiedzy — równocześnie zapoznając się sami lepiej z odzyskanymi terenami.

Przedstawiciele Gorzowa na wspomnianej wyżej konferencji, domagali się stanowczo utrzymania teatru w Gorzowie jako placówki państwowej, z nałożeniem na niego obowiązku objeżdżania powiatów Ziemi Lubuskiej.

Warsztat artystki - rzeźbiarki w Zielonej Górze

Miasto Zielona Góra może poszczycić się — nazwiskiem wybitnej artystki — Wandy Sokolowskiej.

Wanda Sokolowska pracownicę swoją założyła przy ul. gen. Sikorskiego już w roku 1945. Od pierwszej chwili przybycia do Zielonej Góry rzeźbi bez przerwy. Z wykonanych prac urządziła po raz pierwszy Wystawę Rzeźb w Muzeum Miejskim w Zielonej Górze w dn. 22 czerwca 1947 r., budząc szerokie zainteresowanie wśród mieszkańców Zielonej Góry i osób przyjezdnych. Druga wystawa w Domu Społecznym przy ul. Stalina w dniu 25 września 1947 r. cieszyła się również zasłużonym powodzeniem.

Pracownia rzeźbiarska Wandy Sokolowskiej wygląda bardzo skromnie. Artystki-plastycy żyją w ciężkich warunkach materialnych. Brak zorganizowanego zakupu prac naszych artystów nie pozwala na większy rozmach twórczy. Również brak materiału daje się dotkliwie we znaki! w dużym stopniu hamuje rozwój sztuk plastycznych na Ziemi Lubuskiej.

Wanda Sokolowska jest rzeźbiarką z prawdziwego zdarzenia — oddaną całkowicie pracy twórczej. W szarym kitlu, mocno podniszczonym, spędza większą część swojego życia.

I Wystawa Artystów Plastyków w Gorzowie na której uzyskała nagrodę wojewódzką za „Głowę Dziekana” oraz nagrodę za „Autoportret” i II Wystawa Art. Plast. w Zielonej Górze — która nagrodziła ją I nagrodą za „Głowę-kompozycję” były zasłużoną zapłatą za dotychczasową pracę rzeźbiarki.

Pobudzona osiągniętym sukcesem Sokolowska przystąpiła do nowej pracy: rzeźby „Madonny” w naturalnej wielkości — którą postanowiła wystawić na Wystawie wrocławskiej podczas targów lipcowych.

Wanda Sokolowska potrafiła „wyciągnąć” wśród miejscowej młodzieży wiele zapowiadających się talentów. Młodzież też uczy pilnie i pragnie wzbić w niej prawdziwą miłość do sztuki.

Ukończyła Ziemię Lubuską. — Jak twierdzi — ma dużo sentymentu dla Zielonej Góry i choć warunki pracy w Krakowie miałyby być lepsze — postanowiła pozostać w naszym mieście.

Aleksander Dawid

kołków. Grano zaś na tej harfie obie-

ma rękoma.

Harfy odebrały swą rolę z drugim instrumentem strunowym — z cymbałami. Ponieważ zachodzą jeszcze pomyślnie, zrozumiałe w tak zawilej materii, jaką jest instrumentoznawstwo starożytne, warto spamiętać, że instrument ten nazywał się u Asyryjczyków *sabekka*, u Persów *santir*, u Żydów *kinor* (pięciostronowy), oraz *nebel* (dziesięciostronowy), u Greków *sambyke* lub *psalterion*, w średniowieczu (po łacinie) *sambuca* lub *psalterium*, u Niemców *Hackebrett*, u nas Polaków jeszcze *psalterz*. Cymbały były małe, do harfy lub liry podobne, noszono je również na pasku przed sobą. Miały płaskie pudło rezonansowe w kształcie trapezu albo trójkąta z jednym mocno wygiętym bokiem, na powierzchni większą ilość strun metalowych, mocno napiętych i różnie długich. Uderzano w nie pałeczkami drewnianymi lub zarywano małym przyrządem, plektrum zwanym *Dźwięki* wydobywano głośnie, jasno zabarwione, w górze ostre. Cymbały przejęli później Żydzi, Grecy i Arabowie. W czasie wypraw krzyżowych, w XII i XIII wieku, dostały się one do Europy. W formie

zmienionej i udoskonalonej używają ich jeszcze dzisiaj zespoły małoarty- styczne, zwłaszcza cygańskie na Węgrzech, wygrywające z swobodną fantastyką muzykę lekką i taneczną. W piękny sposób użył ich również Ignacy Paderewski w swej operze „Manru”, której bohaterem jest, jak wiadomo, cygan o tym samym nazwisku. Cymbały dały również nazwę późniejszemu klawicymbałowi (lub klawesynowi), stały się jednak, już z końcem wieku XIV, pierwowzorem dzisiejszego, w porównaniu z prymitywem — cudownego fortepianu.

Używano również czworokątnych pięcioletnich siedmiostronnych lir, z 4 lub 3 tysiącami przed Chr. pochodzących. I one posiadały pudło rezonansowe pod strunami Górna połowa, a nawet większa część, miała atoli czworokątne wycięcie, skutkiem czego pozostawał na górze tylko pałak. Zawieszano je sobie również na ramieniu a trzymano na ogół pod pachą, jak nosi się np. książkę lub tekę pod pachą. Z lewej strony grano palcami z prawej zarywano struny za pomocą plektrum.

W użyciu były jeszcze podwójne fle- ty i charakterystyczne lutnie, zadziwia-

jące długą szyją a małym kadłubem, silar zwane. Proste trąby, u wylotu rozszerzone, długości mniej więcej czterech stóp, służyły raczej do sygnalizowania i wygrywania fanfar Dudy najprymitywniejszej konstrukcji, pomysłu pa- stuchów chaldejskich, po grecku *symphonia*, po łacinie *tibia utricularis* lub *chorus* zwane, później nawet wybrane przez cez. Nerona na instrument publicznych popisów, stały się prototypem powstałych mniej więcej dwieście lat przed Chr., a dzisiaj potężnych i majestatycznych organów. Składały się one z weża-mieszka jako rezerwoaru powietrza, w który dmuchało się za pomocą rurki, zarazem z przyrządu piszczałkowego, u drugiego końca mieszka umieszczonego mającego ustnik z stroikiem trzcinowym i kilka otworów bocznych. Rytm zaznaczały wielkie bębny ramowane oraz małe cylindryczne, które nosiły obrotowo prosto przed sobą na pasie i w które uderzały palcami obu rąk.

Z muzyką instrumentalną łączył się często, zwyczajem orientalnemu, śpiew męczyzn, kobiet a nawet dzieci. Całość instrumentalno-wokalna zespalała się niejednokrotnie z tańcami.

improwizowanej z baroków świetlicy. Nawet nie wiedziałem dokładnie kto i jakie otrzymał odznaczenia. Widziałem tylko twarze tych ludzi jakiegoś inne, ożywione, tak jakby pojaśniały od ognia, który płonął w ich stołczyńskiej hucie.



W kilka dni później mój znajomy pyta mnie z niekłamany zdziwieniem. — Wytłumacz mi pan, co się stało tym ludziom z Stołczyna. Milczałem, nie wiedząc co ma na myśli. — Nie uwierzy pan, co to za ludzie. Od tego czasu jak piec zapłonął i huta ruszyła, powiadam panu cuda, formalnie cuda. To daby nie ludzie. Ach, pan nie wie, mieliśmy jeszcze później takie zmartwienia, odlęwy wychodziły zanieczyszczone. W piecach martinowskich nie można było uzyskać odpowiedniej temperatury. A ci ludzie byli niezrażeni. W oczach się dwoili, byle podać pracę. Jednym słowem, są niezmiernie ciekawa historia.

Nie śmiałem jemu wtedy tak wytłumaczyć, jak ja to zaczynałem rozumieć. Miałem dopiero takie niejasne przypuszczenia. Stałe przypominały mi się twarze robotników w tamten pamiętny wieczór, które były tak ożywione, jakby trwały na nich odbłask roztopionego do białości żelaza. I do dzisiaj mam jeszcze takie osobiste przeświadczenie, że w blasku i gorącości płonącego w wielkim piecu ognia, zatlił się w sercu stołczyńskich robotników trwałe płomienie wiary i zapału. Że urzekł ich swoją mocą i tajemną potęgą. Pobudził do wielkiego wysiłku, do ogromnej pracy, i pod jego to wpływu odnieśli ten wielki sukces, że huta ruszyła już nie na próbę, ale na stałe.

Jakim sposobem ogień w hucie ma tak wielki wpływ na ludzi, tego nie wiem, i wątpię, jakbym się ich spytał, czy umieliby to wytłumaczyć. W każdym razie, jedziemy tam jutro, przekonasz się na miejscu — zakończył krótko, wstając z ławki.

Nie chciałem zaprzeczyć. Zastanawiałem się jeszcze nad jego słowami, uważając, że chociaż bym teraz tam pojechał, to już nie odniosę podobnych wrażeń, jakie przeżył mój przyjaciel. Życie nie zatrzymuje się w miejscu. To co było, przeminęło. I nawet najbardziej uroczyste wydarzenia zacierają się z czasem w pamięci. Zresztą i mój przyjaciel powiedział, że dzisiaj w hucie idzie wszystko tak normalnie, jakby tam nigdy nie było zniszczenia. Z pewnością dzisiaj nie zobaczyłbym wśród robotników uroczego ożywienia na twarzach. Ciężka ich praca wymaga ciągłego wysiłku święta. I z pewnością praca ich stała się tak codzienna, jak każda inna.

A wolałbym zachować w pamięci taki obraz tych ludzi, jakim sobie wytworzył pod wpływem słów przyjaciela. Wielkie dni zmagania i przełomu nie często się zdarzają. Historia tych ludzi stała się dla mnie nieocenioną nauką.

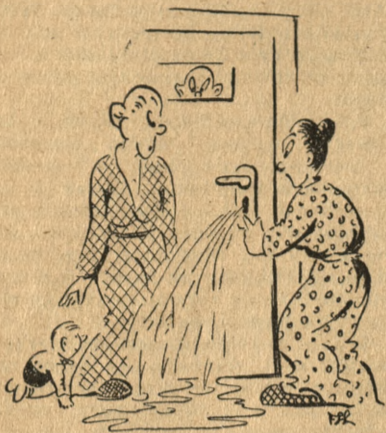
Wsiadliśmy w biegu do któregoś już z ostatnich tramwajów. Stojąc na tylnym pomoście spoglądaliśmy na północ, gdzie nad Stołczynem gorzały łuny.

Tramwaj, trzęsąc na zakrętach, pędził wzdłuż opustoszałych ulic. Wysokie domy przesłoniły horyzont. Ale jeszcze ponad nimi przebłyskiwały różowe łuny. Oby te łuny widziano ze wszystkich stron Polski.

„Romi”

Eulalia i Eufemia ratują

Sobota w naszym domu jest dniem lub raczej „świętem czystości”. Odbywa się bowiem wtedy ogólne kąpanie się całej rodziny. Pierwsze idą do wody nasze dzieci. Mamy ich sześciu. Kąpiemy je parami. Trzy razy po jednej parze. Najpierw Kicia i Micia, potem Oleś i Boles, wreszcie Wicus i Wacus. Po dziesiątym kolej przychodzi na mnie, ostatnia zaś pławi się moja małżonka. Jedynie dwie nasze ciocie: Eulalia (58 lat) i Eufemia (59 lat) nie korzystają z kąpeli „bo to nie wypada”. W minioną sobotę



nic nie zapowiadało tragedii, jaką przeżyliśmy w naszym domu. Nasza stara i wierna pomocnica domowa (służy u nas już 3 tygodnie i nic dotąd nie zginęło poza kuponem bielskiego materiału, który i tak leżał bezużytecznie) przygotowała wannę, napaliła w piecu łaźniennym i przyszykowała ręczniki. Moja Klarcia, dobra towarzyska życia i matka naszych dzieciąt, zamknęła się w łaźni z pierwszą parą: Kicią i Micią. Ciotki: Eulalia i Eufemia krzątały się po dziecięcych pokojach, szykując łóżeczka dla naszych aniołków. Wierna i stara nasza służąca Ksenia gotowała w kuchni herbatę lipową dla naszych ukochanych maleństw.

Kicię i Micię wykąpane, po prostu chemicznie czyste ułożyliśmy w łóżeczkach, a do wanny poszła następna para: Oleś i Boles. W tym czasie zajęłam się Wicusiem i Wacusiem czytając im Pitigrillę. Wtem dzwonek. Kto to może być? Otwieram drzwi i kto? i kto? Stryciek Zenobiusz! Rozwarły się ramiona nasze jak oddzwiały w gumnach. „Stryciu Zenobiusz! „Bratanku Irydionie!”

Stryciek zapytał o Klarcię. Powiedziałem mu, że właśnie kąpie nasze półciechy. Ale też po chwili Klarcia wyszła z naszymi maleństwami z łaźni. „Witam strycia — zawołała Klarcia — prosimy, prosimy”. Do wanny zaś poszli Wicus i Wacus.

Strycio rozsiadł się wygodnie w gabinecie i dalejże rozprawiać, a to z ciociami, a ze mną. O płamach na słońcu, na ubraniach. O kolejach żelaznych i o kolejach jego losu... aż wreszcie zawołał: „A wiesz, i jącym się wykapał, brateńki miłenkę.” Zaproszeniem naszym nie było końca. „Ależ prosimy stryciu, prosimy”. Więc też zmieniliśmy plan i po Wicusiu i Wacusiu weszli do łaźni kochany stryciek Zenobiusz.

Tu muszę dodać, że wanna nasza ma zepsuty przysznik. Już od 15 lat. Zresztą po co nam przysznik. Więc też zdziwiłem się, gdy po pewnym czasie usłyszałem strycia wołającego: „Irydionie, Irydionie!” Podszedłem pod drzwi łaźni: Cóż tam, drogi stryciu. „A dajcie no mi flachange brateńki i brechsztange. Naprawię wam przysznik”.

Strycio był... hm... nagły, więc wysunął tylko rękę po żądane narzędzia. Ksenia, nasza wierna stara domownica w mig mu narzędzia podała. Ciocie: Eulalia i Eufemia, jak co sobota, kładły nam — Klarci i mnie — pasjanse. „Niedługo znowu będziecie mieć dwa bliźniątka”. Bo nie powiedziałem jeszcze, że nasza dziesiątka to 3 pary bliźniąt. Oczy się nam więc roześmiały. Nieszczęśli! Nie wiedzieliśmy, że małowczko a będziemy z tych oczu ro-



— A gdzie to pani kazala sobie robić tę undulację?
— A na głowie, sąsiadko, na głowie.

nić ły. Tymczasem z łaźni docho- dzić zaczęły jakieś przedziwne od- glosy. Walenie niby to młotem w rurę, szyczenie niby to wodospadu coraz gwał- towniejsze, głośniejsze. Wtem patrzymy, a tu przez szpary drzwi z łaźni prze- ciskają się strumienie wody. I nie tak szybko wezbrana rzeka, gdy przerywa tamy rozlewa się na łakach i siolach, jak to stało się u nas w minioną so- botę. Stryciek... hm... nagusienki wy- biegł z łaźni, a przez rozwarte drzwi buchnęła w nas potężna fala zalewając wszystko w oka mgnieniu. Z kranu nad wanną gwałtowny stru- mień z sykiem groźnym a rozszalałym wyrzucał masy wezbranych wód. Już i sypialnie naszych dzieciąt stały pod wodą, której zwierciadło unosiło się z minuty na minutę. Ciocia Eulalia i Eufemia zapomniały, że stoją po ko- lana w wodzie i ukłękły, by oczy wnieść ku niebiosom czyli w pułap Moja Klarcia droga i kochana, otwo- rzyła okna wołając o pomoc, dzie- ciątka zaczęły zawodzić a chlupać; ja sam stanąłem w korytarzu jak wryty, strycio zaś powtarzał w kółko: „Bra- teńki co tu robić, co tu robić.” Ksenia wierna i stara nasza pomocnica domo- wa uchyliła drzwi na klatkę schodową, a z jej klatki piersiowej wydobył się jęk: „Wiaruchna, bo się topiemy”. Wezbrane wody runęły teraz na scho- dy, tocząc się po nich z rykiem w dół. Mnie udało się tymczasem dobrać do wanny i zatrzymać strumień wala- cy z kranu. Lecz czy to nagłe osła- bienie mięśni czy może zbyt wielka była siła rozszalałego żywiołu, dość, że woda z niezwykłą mocą odparła mą dłoń i nowe fale runęły na nas. Ciocie: Eulalia i Eufemia powstały z klęczek, bo im woda już do... hm... piersi sięgała. Strycio powtarzał: „Brateńki co robić, co robić.” Klarcia zaś po pas w wodzie, stała w oknie wyjąc o miłosierdzie.

W pewnej chwili, jakby tajemnym kierowane instynktem ciocie nasze: Eulalia i Eufemia zawołały: Kseniu, idź do dozorczy i niechaj zamknie główny ekran w piwnicy. Gdy to strycio usłyszał zmarszczył brwi i rzekł: „Nie mówi się ekran tylko kran, a poza tym dawno już to mówi- lem.” A we mnie jakby jasność jako- wś nagle wstąpiła. Wzniostem oczy ku górze, złożyłem rączki szepcząc „oczywiście główny ekran... to zna- czy główny kran, główny kran”.

I rzeczywiście. Po chwili przestał już kranik w łaźni szyczeć i dokoła rozległa się błoga cisza, a tylko fale rozkołysane łagodnym ruchem posu- wającego się wśród nich strycia Ze- nobiusza, lekko odbijały się o ściany naszego mieszkania. Do tej chwili nikt z nas nie zauważył, że strycio był... hm... nagusienki. Pierwsze zoczyły to ciocie: Eulalia i Eufemia. „Irydionie — zawołały — daj stryciowi jakąś szatę.”

Dobre i kochane ciocie. One to prze- cież uratowały nas od utonięcia. Strycio zaś siadł na kredensie, bo stwier- dził, że mu stopy w wodzie już skostniały. Potem zaczął tłumaczyć jaka jest różnica między kranem a ekr- anem. Wywody swe zakończył tak: „A przysznik i tak wam brateńki na- prawię; niech tylko wody ustąpią.”

t.h.n.

Rak

Rak skorpionia raz się zapytał:
— Stworzeniem w istocie jest jakim? Czy rakiem? — Wnet padła replika: Skorpionem!, nie żadnym czyrakiem!

TYSKI

Zdania

„Ciekawość, to pierwszy stopień do piekła” — oto najgłupsze zda- nie w historii ludzkości.

Gdyby szczęście trwało długo, nie moglibyśmy nazywać go szczę- ściem.

Największym może nieszczęściem ludzi otyłych jest to, że siedząc nie mogą wygodnie założyć nogi na nogę.

Poziom umysłowy kobiet rzadko kiedy idzie w parze z wysokością ich obcasów.

O wiele naiwniejsze zaciekawie- nie wywołuje pojawienie się Mur- zyna wśród białych, niż białego wśród Murzynów.

Świat jest urządony tak, żeby socjologia nie miała racji.

Jakże sądzić będą naszą epokę archeologowie za dziesięć tysięcy lat, gdy wykopią tylko korkociąg i maszynkę do mielenia mięsa?

(j. s.)

Wyrok

Kłóciły się pory roku
Która najładniejsza
Tak kłóciły, aż pobity...
Ale o to mniejsza!

Słyszac hałas: rok i wieczność
Chcą złagodzić spór ten:
Wypowiedzieć się kolejno,
A nie krzyczcie hurtem!

Wiosna mówi: za mną tęsknią
Wszyscy zakochani
Lato chyttrze swym gorącym
Jury chce omamić.

Jesień znów pretensje do MISS
Wywodzi perłście
Któż takim się poszczyci
Odcieniem złocistym?

Zima śnieżno-białą cerą
Też chce imponować
Niech najwyższy sąd orzeknie
Która z nas królowa!

Rok i wieczność równocześnie
Wyrzekły z patosem
Nikt by pięciu zim z kolei
Nie zniósł, ani wiosen...

Każda z Was przemija i po-
Wraca wciąż na nowo,
Każda z Was w swoim sezonie
Roku jest Królową.

*

Pisząc bajkę myślę o nas,
Po co być zazdrosną
Zona to jest Twoje Lato
A ja Twoją Wiosną!

K. PIWNICKA



— Od kiedy to pani patrzy zezem?
— Ach, od czasu, kiedy mam dwojaczki,
człowiek stale musi się rozglądać na dwie
strony...



— To nieładnie! Skorzystał pan z okazji,
że na pana nie patrzyłam i pocałował
mnie pan. Nie chcę na pana patrzeć!!!

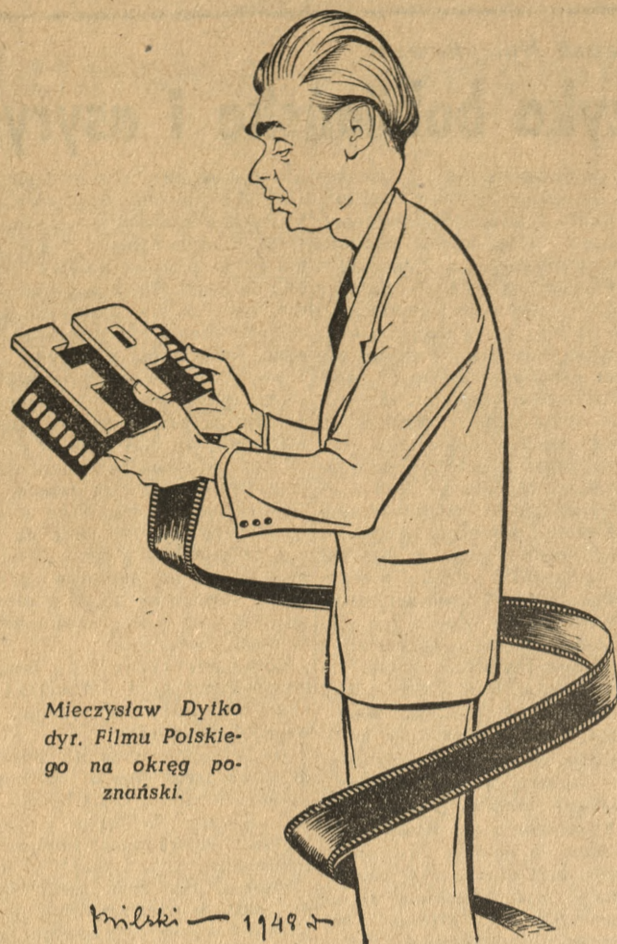


— Panie starszy czy
to sznycel cięlecy czy
sznycel wieprzowy?
— Czy nie odróżnia
pan w smaku??
— Nie...
— No, to powinno
panu być obojętnem.

Słownik przekorny

Bosman — urzędnik BOS-u.
Biurokrata — pan lubiący sledgeć za
kratą...
Obywatel — obywatel, który się bez docho-
dów bocznych.
Notariusz — milicjant na ulicy.
Fajtlapa — opędzający się od łapówek.
Kretyn — prowadzący krecią robotę.
Skrzypek — pan skrzypiący butami.
Magister — pracownik magistratu.
Redaktor — podniosły aktor.
Śledziennik — sędzia śledczy.
Truman — o mało nie Tuman... S.W.

Z teki karykaturzysty



Mieczysław Dytko
dyr. Filmu Polskie-
go na okręg po-
znański.

milski — 1948

STANISŁAW WITOWSKI

Utwory satyryczne

Pochwała Ubezpieczalni

Tyle się robi szumu,
że w jakiejś tam fabryce
stanęły do wyścigu,
przy... pracy — robotnice...

Tymczasem — o czym milczą
wszyscy i gremialnie —
dawno podjęły wyścig
w pracy — Ubezpieczalnie...

Kto przyjmie tylu chorych,
bezzębnych — przez godzinę?
Gdzie tak załatwią szybko
biednego klientkę?...

Niech skryje się fabryka,
znad krosien robotnice —
tempo leczenia w U. S.
przynosi wstyd fabryce...

O pewnym pisarzu i krytykach

Wydał pierwsze dzieło — krzyknęł
tyran!

Oto jeszcze jeden okaz — grafiomani!

Wydał drugie dzieło — ci sami, mniej
wściekli!

A jednak w nim coś jest — dawnośmy
orzekli...

Wydał trzecie dzieło — ci sami, już
szepłem!

Myśmy przeczuwali wielki talent —
przedtem...

O syrenach

Bałwany, to ich żywioł, więc się nie
smuć, bracie,
jeśli żadna nie spojrzy, choć nad mo-
rzem, na cie...

Myśli rymowane

Przyczyna

Kto przyczyny nie odgadnie,
ten i skutkiem nie zawładnie.
Autorytet choć się puszy,
siły faktu wszak nie skruszy.

Chcieć — to móc?

Zwykle myśli zbyt zuchwale,
gdzie zdolności nazbyt małe.
Nierozsądnie postępuje,
kto w pozorach się lubuje.

Tak się działa, jak się myśli,
mało ważne, co się przyśni.
Nadmiar w życiu często szkodzi,
umiar zwykle nie zawodzi.

Dowody

Nie tak kręte prawa przyrody,
jak zawiłe ludzkie wywody.

Chciwy

Chciwy chętnie dopomoże,
skoro na tym zyskać może.

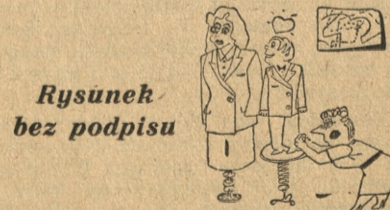
Wybac

Wybacz nędzy na zły drodze,
za nią wyzysk potęp srodze. Ko-mar



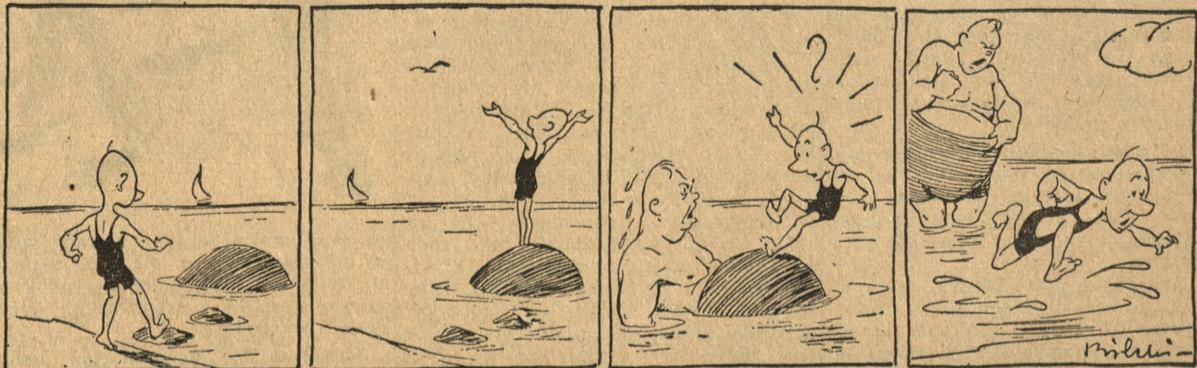
— Zobacz, ten gliniany garnek jest z VII
wieku przed Chrystusem.

— Ciekawe, u mnie nie wytrzymał by tak
długo!



Rysunek
bez podpisu

Nawet na plaży przygoda się zdarzy



Ślówka dawno o tym marzył,
Aby zażyć kiedyś plaży.

Stojąc w wodzie na kamieniu, Ale „kamen” ten tymczasem
W dal spogląda w zachwyceniu. Był... kąpiącym się grubasem.

Biedakowi żywot miły,
Więc ucieka, ile siły.